NACIĄGNIĘTE

Salon medycyny estetycznej może otworzyć każdy. Klientki bez wahania oddają swoją twarz do przeróbki. Wiele staje się ofiarami przemysłu beauty – poznajcie ich opowieści

OFIARY MEDYCYNY ESTETYCZNEJ

TWARZ ODDAM I DOPŁACĘ

Salon medycyny estetycznej może otworzyć każdy. Klientki nie spytają o wykształcenie i praktykę. Zgodzą się nawet, żeby ktoś trenował „ostrzyki" na ich twarzach. A potem, z zakażeniem czy martwicą skóry, nie pójdą na skargę. Nie mają dokąd

TEKST ELŻBIETA TURLEJ

Odpowiadam na ogłoszenie: „Szukamy modelek do szkoleń z wypełniaczy". Kobieta, która podaje mi godzinę i miejsce zabiegu, nie pyta, czy jestem zdrowa i dlaczego chcę zostać królikiem doświadczalnym dla dwu kosmetyczek i szkoleniowca. Interesuje ją tylko, czy bez wahania oddam twarz do przeróbki.

I oto jestem w salonie kosmetycznym na środkowym piętrze kamienicy w Alejach Jerozolimskich, w centrum Warszawy. Pachnie kapuśniakiem i rozgotowanymi kartoflami. Szklany stolik, na którym stoi dzbanek z wodą zmąconą cytryną, ma rysę. Różowa kanapa lepi się od brudu.

FOT. ROBERT DALY/GETTY IMAGES

Siedzą na niej cztery młode, jasnowłose i błękitnookie dziewczyny. Jedna z barczystym, łysym chłopakiem, który cały czas wystukuje coś na ekranie smartfona. – Co za weekend – mówi pracownica salonu, która mnie zwerbowała. – Wczoraj kobieta zemdlała na niciach (180 zł za jedną, cztery zaciągnięte pod skórę naprężają ją niczym wiatr napełnia żagiel). Dzisiaj zemdlała kolejna, kiedy szkoleniowiec wstrzykiwał kwas w jej lwią zmarszczkę na czole. A teraz musiałam cucić dziewczynę, której – po nakłuciu igłą – poleciało trochę krwi z dolnej wargi – opowiada.

Dziewczyny poruszają się niespokojnie na różowej kanapie, ale żadna nie ucieka. Nie uciekają też, kiedy pracownica salonu podsuwa im oświadczenie. „Jestem świadoma, że wystąpienie negatywnych następstw i powikłań, o których zostałam poinformowana przed wykonaniem zabiegu, nie uprawnia mnie do roszczeń odszkodowawczych. Jestem również świadoma, że podstawą roszczeń nie może być rozbieżność między rezultatem, którego zakres i rodzaj został ściśle określony przed przystąpieniem do zabiegu, a moimi oczekiwaniami".

– Szkoleniowiec wstrzyknie wam mililitr kwasu hialuronowego. Jest bezpieczny, ładnie zwiąże się z waszą tkanką – mówi pracownica salonu. – Przez kilka dni usta mogą być opuchnięte, ale potem nie będzie śladu po zabiegu. Dostaniecie numer seryjny i opakowanie produktu, żebyście wiedziały, czym potem uzupełniać. A teraz podpisujcie oświadczenie i zapraszam do kasy. Jako modelki płacicie mniej niż klientki. Za kwas hialuronowy, którym wypełnimy wargi, pobierzemy 350 zł. Tanio, bo zabieg normalnie kosztuje od tysiąca do 1,5 tys.

Dziewczyny podpisują, płacą. Jedna z nich otwiera drzwi gabinetu. Widzę łóżko kosmetyczne, lampę, dwie kobiety w niebieskich fartuchach. I mężczyznę, który prowadzi szkolenie. Jeśli wierzyć wyszukiwarce Google, zanim skończył kosmetologię, dostał certyfikat od lekarza, który szkoli z wypełniaczy, i sam zaczął szkolić, był lokalnym politykiem i startował w wyborach do Sejmu.

Po kilkudziesięciu minutach dziewczyna robi miejsce kolejnej, chłopak, z którym przyszła, nie podnosi głowy znad smartfona. Pozostałe ruszają w jej stronę. Odpowiada na pytania niewyraźnie, jakby potykała się o duże, twarde wargi. Są symetryczne, wyglądają jak napompowane pod wymiar. – Górną wargę zrobił ten facet. Potem dał igłę kursantkom i one mi robiły dolną. Jedna powiedziała, że to jej pierwsza żywa skóra, bo do tej pory ćwiczyła na sztucznej – opowiada. – Bolało? – dopytują dziewczyny. – Bolało, ale trzeba cierpieć, żeby być... – mówi niewyraźnie i nie rozumiem, czy chodzi o to, że cierpienie jest nieodłączną częścią życia, czy dbania o urodę.

BOLAŁO, ALE TRZEBA CIERPIEĆ

PO TYM, CO ZOBACZYŁAM, WRZUCAM POST W INTERNETOWEJ GRUPIE MODELEK: „Szukam kobiet, które zostały poszkodowane podczas szkoleń. Interesuje mnie, czy szkoleniowcy im potem pomogli".

Post wisi dwa dni. Potem dostaję „bana". Przez ten czas jednak odzywają się do mnie trzy kobiety. Niewiele jak na grupę liczącą kilkaset członkiń – a takich grup działa kilkanaście.

Na początek tłumaczą, że „generalnie jest bezpiecznie, bo kursantki ćwiczą na rozwodnionym botoksie, który puszcza dwa, trzy tygodnie po zabiegu". Pigment, którym nieumiejętnie tatuują usta modelek, blaknie po miesiącu, dwóch, a rzęsy przylepiane przez kilka godzin odpadną nazajutrz. – Tu jest branża beauty, tu nie ma złudzeń – mówi przez telefon jedna z modelek. – Płacimy kilka stów za coś, co w gabinecie medycyny estetycznej jest wyceniane na kilka razy tyle. Na nas i kosmetyczkach, które chcą dostać się do branży, zarabiają szkoleniowcy: kosmetyczki albo lekarze, którzy wyczuli koniunkturę i zostali szkoleniowcami. Za dzień szkoleń biorą po kilka tysięcy. My jesteśmy na samym dole drabiny. I albo podejmiemy to ryzyko – bo każda chce być piękna, a kasę mają nieliczne – albo pogodzimy się, że nie jesteśmy idealne.

Dwudziestoletnia studentka, która rozmawia ze mną na Skypie (wcześniej wysyła zdjęcie brwi, które wyglądają jak dwa, krwawe zadrapania), mówi, że podjęła ryzyko, bo jej brwi były niesymetryczne. Lewa wydawała się lekko podniesiona w stosunku do prawej. – Nie miałam pieniędzy na wyrównujący wszystko microblading, który kosztuje nawet tysiaka za jedną brew – mówi. – Zgłosiłam się do X, która chciała na mnie poćwiczyć. Niestety, najpierw krzywo narysowała linie. I zrobiła tatuaż według tych krzywych. Nacięła skórę głęboko, wpuściła barwnik, który rozlał się poza linie, aż do ucha.

> TU JEST BRANŻA BEAUTY, TU NIE MA ZŁUDZEŃ
>
> – MÓWI MI PRZEZ TELEFON JEDNA Z MODELEK

Napisała opinię na Facebooku, ale administrator usunął komentarz, a ją wyrzucił z grupy.

Czeka ją usunięcie starych brwi laserem i przykrycie blizn nowymi, wytatuowanymi brwiami. Zapłaci za to, co miało być „po taniości", około 2 tys. zł.

Na koniec rozmawiam z 50-letnią Y, która oddała swoje usta i policzki doktorowi B. Obiecywał, że podczas szkolenia tylko on będzie ich dotykał, nakłuwał i formował. Ale kiedy położyła się na łóżku, obok pojawiła się debiutantka w branży medycyny estetycznej. – Doktor B. mówił do niej: „Zobacz, teraz tłoczę kwas". I nakłuwał moją dolną wargę – wspomina 50-latka. – Potem dał jej strzykawkę i powiedział: „Teraz ty". Następnie zrobił inną strzykawką dziurkę w skórze lewego policzka, wcisnął w nią wenflon i wpompował kwas. Potem ugniatał, formował policzek. A nowa w branży wciskała, pompowała, formowała i naciskała drugi.

Kurs był w sobotę. W poniedziałek nowa w branży medycyny estetycznej powiesiła w swoim „gabinecie manicure – pedicure" certyfikat z podpisem lekarza. I ruszyła z wypełnieniami, na początek skromnie, w cenach promocyjnych, czyli od tysiąca wzwyż.

Tymczasem 50-letnia Y po kilku dniach zauważyła, że jeden policzek (od doktora) jest wyżej od tego od debiutantki.

Warga od doktora nie odstaje i nie zapada się tak jak warga od nowej. W tej pierwszej nie ma dołków i grudek. W tej drugiej są.

Kiedy zadzwoniła do nowej w branży, usłyszała, że nie bierze odpowiedzialności za preparat szkoleniowca. Doktor, którego

złapała na komórkę, powiedział, że jest na wakacjach za granicą – od tej pory nie odbiera od niej telefonu. W profesjonalnym gabinecie medycyny estetycznej („Boże, kto to pani zrobił? Za dużo wstrzyknięte i za płytko") zaproponowano jej hialuronidazę, czyli podanie enzymu obecnego m.in. w jadzie grzechotnika.

Enzym miał rozpuścić kwas, po to, żeby potem można było wpuścić nowy. Całość 3 tys. zł.

NIKOMU NIE POKAZUJ

Oglądam zdjęcie przysłane mi przez inną kobietę, skrzywdzoną przez kosmetyczkę, która skończyła podobny kurs. Przez środek czoła kobiety biegnie coś na kształt różowobordowego liszaja pokrytego brązowosinym strupem, który wkrótce przejdzie w rozległą bliznę.

Podobne zdjęcia dostaje X, która prowadzi m.in. portal dla lekarzy medycyny estetycznej. W tytule e-maili: „Top secret", „Nikomu nie pokazuj". Na zdjęciach: ropa, blizny, rany. Bordowe usta. Opuchnięte, sine bruzdy przy nosie. Martwica skóry. – Wiem tylko, że bohaterki zdjęć chciały być piękne jak kobiety z kolorowych magazynów, a teraz szukają pomocy – mówi mi X. – Niestety, nie chcą zdradzić, kto, gdzie i czym je tak oszpecił. Kryją swojego oprawcę, jakby uwierzyły, że muszą cierpieć.

Często, mimo że raz zostały skrzywdzone, wracają do niego po raz kolejny. X opowiada o kobiecie, która chodziła na tzw. ostrzyki do swojej fryzjerki. Mogła jeździć do lekarza, który zrobiłby jej to drożej i w lepszych warunkach. Wolała fryzjerkę, która skończyła kilkugodzinny kurs prowadzony przez inną fryzjerkę. I nie chodziło o pieniądze, bo kobieta prowadzi intratny biznes, ale o więź. Powtarzała, że jest dla niej jak ktoś bliski, niemal rodzina. – Kiedy spuchła po podaniu wypełniaczy w bruzdy wargowo-nosowe, fryzjerka doradziła, żeby brała zyrtec (dostępny bez recepty). Kiedy nie pomagało, zrobiła jej mezoterapię mikroigłową, czyli dodatkowo podrażniła chore miejsce. Efekt: zakażenie bakteryjne, ropień, wizyta w szpitalu, cięcie, blizna.

Szukam danych o liczbie kobiet, które – wierząc w to samo – trafiają nie tylko do uczących się na nich kosmetyczek, lecz także do tzw. adeptów medycyny estetycznej, legitymujących się certyfikatem zdobytym podczas kilkugodzinnych szkoleń. Niestety, nikt tego jeszcze nie zbadał, bo medycyna estetyczna to – jak mówią w branży – szara strefa. – Wiadomo, kto może leczyć, ale nie ma uregulowań prawnych, kto może ingerować w ciało. W Polsce nie ma też kompleksowych studiów medycyny estetycznej – mówi mi dr Marek Wasiluk z Kliniki Triclinum, który jako pierwszy i jedyny lekarz z Polski skończył na londyńskim uniwersytecie Queen's

Mary studia z medycyny estetycznej na poziomie magisterskim (tzw. level 7). – Dzisiaj każdy, kto ma pieniądze i ochotę, lekarz, księgowa czy budowlaniec, może otworzyć ośrodek medycyny estetycznej, powiesić na ścianie certyfikat i wykonywać zabiegi. Taki certyfikat może nawet sam sobie napisać i wydrukować, bo nie ma regulacji, kto może takie szkolenia robić. Nie ma też jasnych przepisów, co grozi firmom, które sprzedają takim osobom preparaty czy urządzenia. Pół biedy, jeśli firma sprzeda produkt dobrej jakości. Gorzej, jeśli ktoś ściąga np. tani kwas hialuronowy z Chin czy Korei albo kupuje laser okazyjnie na AliExpress. Wtedy może wyrządzić kobiecie krzywdę. A potem zniknie, kiedy klientka będzie dochodzić swoich praw.

PROSZĄ O POMOC

DR MAREK WASILUK PRZYPUSZCZA, ŻE KOBIET POZOSTAWIANYCH PO ZABIEGU estetycznym samym sobie mogą być setki. – Powikłaniem powinien się zająć ten, kto do niego doprowadził, ale tak się najczęściej nie dzieje – mówi. – Najgorzej, gdy zabieg wykonuje ktoś niebędący lekarzem, bo nie wie, jak poradzić sobie z powikłaniami i nie może przepisać żadnej recepty. Skrzywdzona klientka idzie więc do lekarza, tymczasem lekarze medycyny estetycznej nie chcą się zajmować cudzymi błędami, a lekarze innych specjalności nie mają doświadczenia.

Efekt? Kobiety cierpią w samotności. Niektóre, ale to są – jak mówi dr Wasiluk – pojedyncze osoby, zbierają dowody i idą do sądu. Jednak sądy nie radzą sobie z orzecznictwem w nowej dla siebie dziedzinie, poza tym niechętnie płacą biegłym, czyli lekarzom medycyny estetycznej. Ci z kolei niechętnie podejmują się występowania przeciwko komuś z branży, ale też nie zawsze są w stanie oszacować, co albo kto zawiódł. Może preparat, ale kobiety nie zawsze wiedzą, co wstrzyknięto im w policzki czy usta. Może zawinił sprzęt, jednak kiedy salon znika, razem z nim zapada się pod ziemię cała dokumentacja. O ile w ogóle istniała.

– Zdumiewające, jak łatwo i bez oporów kobiety oddają swoje twarze innym – mówi mi dr Wasiluk. Niedawno zgłosiła się do niego kobieta, której kosmetyczka, znana w polskim show-biznesie, podała kwas w skórę na czole. Chciała nim wypełnić tzw. lwią zmarszczkę. Zatkała naczynie krwionośne. Skóra zaczęła obumierać. Kobieta dzwoniła do kosmetyczki, mówiła, że boli i miejsce po wkłuciu, i głowa, ale ta uspokajała, że tak musi być. Kiedy ból nie mijał, zgłosiła się do dr. Wasiluka. – Na początek chciałem rozpuścić kwas, ale kobieta nie wiedziała, gdzie jeszcze, oprócz lwiej zmarszczki, został podany. Kosmetyczka, która na szczęście zechciała ze mną współpracować, powiedziała, że podała „po całości" i dodała, że pewnie będę na nią krzyczał za to, co zrobiła – opowiada dr Wasiluk. – Przyszły do mojej kliniki razem. Wydawały się zaprzyjaźnione. Nie wyczułem w ich relacji ani jasnego podziału na winowajcę i ofiarę, ani wściekłości ofiary i skruchy winnego. A przecież rozpuszczenie kwasu to dopiero pierwszy etap leczenia. Zaleciłem siedem różnych leków, w tym pięć na receptę. Przed pacjentką jeszcze kilkanaście innych zabiegów. Dwa lata leczenia. Za coś, co miało być tanie, zapłaci 50 razy więcej – dodaje dr Wasiluk.

POCIĘTA NA OŚLEP

ZASTANAWIAM SIĘ, KTO SPROWADZIŁ ZABIEGI MEDYCYNY ESTETYCZNEJ POD STRZECHY. Kto wmówił Polkom, że mogą szybko, tanio i w byle salonie fryzjerskim zamienić się z brzydkich kaczątek w łabędzie. Chcę o tym porozmawiać z chirurgiem plastycznym, który w pierwszym telewizyjnym show operował Polki na oczach milionów widzów. Kiedyś jego klinika mieściła się blisko gabinetu przy Alejach Jerozolimskich, w którym szkolą się kosmetyczki. Uchodziła za najlepszą w Polsce, a chirurg za największego specjalistę w branży.

Dziś nie ma po klinice śladu, a lekarz przyjmuje w mniej eksponowanym miejscu. A i sama klinika – w środku blokowiska, bez miejsca do parkowania – wygląda inaczej niż te, które teraz są na topie. – To był błąd – mówi chirurg, kiedy pytam, czy nie żałuje udziału w show. – Pod hasłem programu zaczęli się ogłaszać chirurdzy, którzy nigdy nie wykonywali takich zabiegów. Inni z kolei powoływali się na moje nazwisko bez mojej wiedzy i zgody. A potem w ślad za partaczami lekarzami pojawili się – jakby wyczuwając, że nic im nie grozi, bo kobiety nigdzie nie pójdą na skargę – partacze bez studiów medycznych: kosmetolodzy, kosmetyczki, fryzjerzy.

W czasach przed programem zajmował się ciałami zniszczonymi w wypadku, poparzonymi, po amputacjach. Po programie do jego kliniki zaczęły przychodzić – z prośbą o pomoc – pacjentki z brzuchami pełnymi dziur po odsysaniu, spalonymi laserem powiekami, napuchniętymi ustami, w które wstrzyknięto silikon przemysłowy. – Nie chciały powiedzieć, kto im to zrobił. Jedna z kobiet miała skórę od obojczyka aż po piersi pokrytą tatuażem – opowiada chirurg. – To były drobne kwiatuszki, jakby nanizane na nitki. Okazało się, że pod tymi kwiatuszkami były blizny po operacji zmniejszenia obwisłego biustu. Najbardziej popularna metoda, stosowana również przeze mnie, pozostawia biało-różową bliznę wokół brodawki sutkowej i krótką, pionową w dół. Z czasem obie bledną i przypominają rozstępy. Ta kobieta miała blizny wysoko, od obojczyka aż po dół piersi. Ktoś pociął ją na oślep i bez sensu – mówi chirurg.

Ale modelki, którym o tym wszystkim opowiadam, przekonują mnie, że przecież nie dzieje im się żadna krzywda. I nie chcą pomocy, one chcą nowych ust, nosa i brody. N

elzbieta.turlej@newsweek.pl

Newsweek POLECA

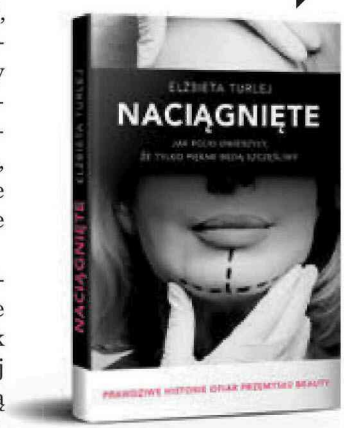

Więcej opowieści o ofiarach przemysłu beauty w książce Elżbiety Turlej „Naciągnięte: jak Polki uwierzyły, że tylko piękne będą szczęśliwe" – w księgarniach od 3 kwietnia. A już teraz w przedsprzedaży na stronie literia.pl